# W twoim mieście pada inaczej

*Po drugiej stronie wyobrażeń czeka prawdziwa osoba*



Laura Bellini

# W twoim mieście pada inaczej

## Po drugiej stronie wyobrażeń czeka prawdziwa osoba

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904633

ALL-IN Rafał Płonkowski



# SPIS TREŚCI

INTRO ..... 4
Rozdział 1 - Człowiek po drugiej stronie ekranu ..... 9
Rozdział 2 - Poza ustalonym planem ..... 20
Rozdział 3 - Światło, którego nie da się poprawić słowami ..... 33
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie wpisuje się do wiadomości ..... 43
Rozdział 5 - Prawo do własnego czasu ..... 54
Rozdział 6 - Zanim miasto zasnęło ..... 63
Rozdział 7 - Poranek po drugiej stronie pocałunku ..... 72
Rozdział 8 - Ludzie, którzy znają go od dawna ..... 82
Rozdział 9 - To, czego nie można zastąpić ..... 94
Rozdział 10 - Miejsce, w którym przestaliśmy udawać ..... 105
Rozdział 11 - Nie tylko noc należy do dwojga ..... 119
Rozdział 12 - Miejsce, które zostawiliśmy w wyobraźni ..... 128
Rozdział 13 - Cena pozostania ..... 140
Rozdział 14 - Wszystko, czego możemy nie ocalić ..... 149
Rozdział 15 - Człowiek, którego sobie wymyśliliśmy ..... 160
Rozdział 16 - Odległość zaczyna się wcześniej ..... 172
Rozdział 17 - Życie, którego nie można odłożyć ..... 185
Rozdział 18 - Nie wystarczy powiedzieć przepraszam ..... 197
Rozdział 19 - Wybór bez wyobrażeń ..... 208
Rozdział 20 - W twoim mieście pada inaczej ..... 221

# INTRO

W Londynie deszcz rzadko zaczynał się od razu. Najpierw szyby ciemniały, jakby ktoś przesunął po nich mokrą dłonią, potem chodnik nabierał połysku, a dopiero po chwili krople stawały się na tyle gęste, żeby ludzie na ulicy otwierali parasole. Tego wieczoru siedziałam przy oknie małej kawiarni w Bermondsey i patrzyłam, jak przechodnie podejmują tę samą decyzję w różnym tempie. Ja nie musiałam się spieszyć. Miałam jeszcze czterdzieści minut do zamknięcia galerii, a potem zamierzałam wrócić do wynajmowanego pokoju, dopracować trzy podpisy do wystawy i położyć się przed północą. Mój plan był prosty. Właśnie dlatego tak bardzo chciałam go utrzymać.

Przyjechałam do Londynu na sześć tygodni, żeby przełożyć teksty do wystawy o listach pisanych przez ludzi, którzy kiedyś próbowali nazwać to miasto swoim domem. Praca była konkretna, termin napięty, a wynagrodzenie wystarczające, by po powrocie do Polski wynająć niewielką przestrzeń na własną pracownię. Od dawna tłumaczyłam przy kuchennym stole, między rachunkami i kubkami, które nigdy nie trafiały do zlewu w odpowiednim momencie. Chciałam wreszcie mieć miejsce, w którym nikt nie odkładałby zakupów na moich wydrukach i w którym mogłabym zamknąć drzwi po zakończeniu pracy. Nie marzyłam o wielkiej zmianie. Wystarczało mi coś, co zależało ode mnie.

Na ekranie laptopa miałam otwarty plik z podpisami. W jednym z nich autor listu pisał, że po przyjeździe do Anglii długo nie umiał odróżnić tęsknoty od zwykłego zmęczenia. Zostawiłam to zdanie prawie bez zmian. Wersja, którą

proponował kurator, brzmiała ładniej, ale gubiła szorstkość oryginału. Nie chciałam, żeby cudze życie stawało się bardziej eleganckie tylko dlatego, że miało zmieścić się na ścianie galerii.

Wtedy przyszła wiadomość od Tytusa.

„Widziałem nowy plik. Możemy porozmawiać o podpisie numer siedem? W układzie nie działa tak, jak myśleliśmy".

Przeczytałam ją dwa razy. Nie było w niej nic nieuprzejmego. Tytus rzadko pisał nieuprzejmie. Przez niemal dwa lata naszej korespondencji nauczyłam się rozpoznawać jego sposób stawiania przecinków, krótkie dopiski na końcu wiadomości i momenty, w których żartował, żeby nie powiedzieć czegoś zbyt wprost. Zaczęło się od pytania o jedno zdanie z listu, który miał wykorzystać w projekcie. Odpisałam, bo pytanie było dobre. Potem przysłał kolejne, a ja zaczęłam odpowiadać nie tylko na nie. Z czasem wymienialiśmy się zdjęciami miejsc, których nie umieliśmy opisać, narzekaniem na zawodowe kompromisy i drobnymi wiadomościami wysyłanymi w godzinach, w których rozsądni ludzie kończyli już pracę.

Nie były to rozmowy, w których codziennie wyznawaliśmy sobie najskrytsze myśli. Czasem przez kilka dni milczeliśmy, a potem jedno zdanie wystarczało, żeby wrócić do rozmowy dokładnie w tym miejscu, w którym ją przerwaliśmy. Tytus potrafił opisać pustą salę wystawową tak, że niemal słyszałam echo własnych kroków. Ja wysyłałam mu fotografie przypadkowych napisów na murach i tłumaczyłam, dlaczego niektórych słów nie da się przenieść do innego języka bez utraty czegoś ważnego. Nasza znajomość nie potrzebowała codziennej obecności. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Wiedziałam, że ma czterdzieści trzy lata, projektuje wystawy i potrafi przez pół dnia spierać się o odcień światła, jeśli uważał, że zmienia znaczenie przedmiotu. Wiedziałam też, że opiekuje się ojcem mieszkającym pod Londynem, choć nigdy nie opisywał tego jako poświęcenia. O sobie mówił oszczędnie, ale uważnie pytał o moje sprawy. Pamiętał, kiedy miałam ważną rozmowę o pracę, i nie próbował pocieszać mnie na zapas. Kiedy odrzuciłam zlecenie, które uważałam za źle wycenione, napisał tylko: „Dobrze, że nie pomyliłaś bycia potrzebną z byciem dostępną". Zapamiętałam te słowa dłużej, niż chciałam przyznać.

Nie spotkaliśmy się wcześniej. Był ku temu zwyczajny powód: mieszkaliśmy w różnych krajach, mieliśmy pracę, zobowiązania i talent do odkładania podróży na dogodniejszy moment. Teraz jednak pracowaliśmy przy tej samej wystawie, w tym samym mieście, a od jutra mieliśmy podejmować decyzje przy jednym stole. Wysłał mi wcześniej swoje zdjęcie, zrobione chyba przypadkiem, w półprofilu, z kubkiem w dłoni. Nie wyglądał jak ktoś, kto próbuje się spodobać. To właśnie sprawiło, że łatwo było mi dopowiedzieć sobie resztę.

Zamknęłam plik i otworzyłam wiadomość z załączonym projektem ekspozycji. Tytus przesłał go przed godziną. Widziałam już ten układ na ekranie, ale dopiero teraz zauważyłam, że przy podpisie numer siedem zostawił mniej miejsca, niż potrzebowałam. Moje zdanie zostało skrócone o połowę. Sens nadal dało się odczytać, lecz znikało z niego zawahanie autora listu, ta drobna niepewność, która sprawiała, że nie brzmiał jak ktoś wygłaszający gotową prawdę.

Poczułam irytację, a zaraz za nią coś mniej wygodnego. Przecież Tytus znał moje podejście do przekładu. W naszych wiadomościach nieraz pisał, że właśnie za tę dokładność mnie ceni. Czy teraz, kiedy mieliśmy pracować razem, uważał, że wystarczy poprosić mnie o elastyczność, a ja dopasuję słowa do jego kompozycji? A może ja sama zbyt łatwo uznałam, że skoro przez dwa lata potrafiliśmy rozmawiać bez wysiłku, to równie łatwo będzie nam podejmować wspólne decyzje?

Telefon zawibrował ponownie.

„Nie chcę rozstrzygać tego przez mail. Jutro o dziewiątej w galerii. Pokażę ci, co mam na myśli. I uprzedzam: nie zgodzę się na podpis w obecnej długości".

Uśmiechnęłam się krótko, bez rozbawienia. W tej wiadomości było coś, czego dotąd nie znałam: stanowczość człowieka, który nie musi już starannie dobierać słów, żeby utrzymać rozmowę. Przez lata mogłam odłożyć odpowiedź, wrócić do niej po godzinie, wybrać zdanie, które nie zabrzmi zbyt ostro. Teraz mieliśmy stać naprzeciw siebie i nie dało się poprawić tonu przed naciśnięciem „wyślij".

Odpisałam: „Przyjdę. Ale nie obiecuję, że skrócę tekst".

Przez chwilę patrzyłam na kursor, jakby miał dopisać coś za mnie. Nie dopisał. Wysłałam wiadomość i schowałam laptop do torby. Za oknem deszcz zgęstniał, a światła samochodów rozciągały się na mokrym asfalcie w długie, drżące smugi. Miałam własny plan, umowę z galerią i decyzję, którą chciałam podjąć po powrocie. Nie potrzebowałam, żeby ktoś przyjeżdżał i układał mi życie od nowa.

A jednak, kiedy ruszyłam w stronę wyjścia, złapałam się na tym, że próbuję wyobrazić sobie jutrzejszy głos Tytusa

poza głośnikiem telefonu. Nie taki, jaki brzmiał w nagraniach, które czasem dołączał do wiadomości, lecz prawdziwy: z oddechem, pauzami i zmęczeniem po całym dniu. Pomyślałam, że być może on także ma już gotowy obraz mnie, zbudowany z moich odpowiedzi, fotografii i zdań, które wybierałam, zanim je wysłałam.

Przy drzwiach zawahałam się na moment. Deszcz padał mocniej niż wtedy, gdy wchodziłam do kawiarni. Mogłam wrócić po parasol, ale nie chciałam znów siadać przy stoliku i udawać, że jutro będzie zwykłym spotkaniem zawodowym. Jeśli przez dwa lata nauczyliśmy się być dla siebie ważni, to czy potrafiliśmy teraz pozwolić sobie na to, żeby zobaczyć się bez całej reszty, którą sobie dopowiedzieliśmy?

# Rozdział 1 - Człowiek po drugiej stronie ekranu

Następnego ranka obudziłam się wcześniej, niż zamierzałam. Nie dlatego, że źle spałam. Po prostu mój umysł uznał, że dziewiąta jest godziną, do której należy przygotować się z należytą starannością, jakby spotkanie z Tytusem Królem było rozmową kwalifikacyjną, a nie pierwszym spotkaniem z człowiekiem, którego wiadomości znałam niemal na pamięć.

Przez kilka minut leżałam w łóżku i słuchałam deszczu uderzającego o parapet. Wczorajszy wieczór zostawił we mnie nieprzyjemne wrażenie niedokończonej rozmowy. Przeczytałam jeszcze raz jego ostatnią wiadomość, chociaż znałam ją już niemal słowo w słowo. Nie zgodzę się na podpis w obecnej długości. Zdanie było stanowcze, może nawet nieco aroganckie, ale nie potrafiłam przypisać mu złych intencji. Tytus nigdy nie należał do ludzi, którzy spierali się dla samej przyjemności zwyciężania. Przynajmniej taki obraz jego osoby nosiłam w głowie.

Wybrałam ciemne spodnie, kremowy sweter i płaszcz, który dobrze znosił londyńską wilgoć. Włosy związałam nisko, pozostawiając kilka pasm przy twarzy. Nie chciałam wyglądać, jakbym spędziła godzinę przed lustrem, choć spędziłam przed nim nieco więcej czasu, niż było to konieczne. W końcu uznałam, że nie zamierzam przepraszać za własny wygląd ani udowadniać, że spotkanie nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Galeria mieściła się w przebudowanym budynku przemysłowym przy spokojnej ulicy Bermondsey. Od frontu miała wysokie okna i ciemną metalową ramę drzwi. W

środku pachniało świeżo malowanymi ścianami, drewnem i kawą, którą ktoś zostawił na zapleczu. Przyszłam siedem minut przed czasem. Wolałam mieć chwilę, żeby zobaczyć przestrzeń bez obecności ludzi, zwłaszcza tych, którzy mogli uznać, że moja praca jest jedynie dodatkiem do ich pomysłów.

Na długim stole leżały wydruki listów, próbki papieru i kilka fotografii. Część dokumentów znałam już z archiwum, inne widziałam tylko na ekranie. Wystawa miała opowiadać o osobistych wiadomościach wysyłanych przez ludzi, którzy przyjechali do Londynu i próbowali odnaleźć się w mieście. Nie chodziło o wielkie historie emigracji ani o oficjalne świadectwa. Najważniejsze były drobne rzeczy: opis pierwszego wynajętego pokoju, skarga na wilgoć w mieszkaniu, przepis przepisany z pamięci, kilka zdań o kimś, kto został daleko.

Tytus miał zaprojektować sposób prezentacji tych materiałów. Ja odpowiadałam za tłumaczenia, redakcję i ostateczny kształt tekstów. W teorii role były jasne. W praktyce granica między słowem a przestrzenią okazywała się znacznie mniej oczywista.

Usłyszałam kroki za plecami.

— Katarzyna?

Odwróciłam się.

Przez krótką chwilę nie powiedziałam niczego. Mężczyzna stojący kilka kroków ode mnie był jednocześnie znajomy i zupełnie obcy. Rozpoznałam go po zdjęciu, ale fotografia nie oddawała sposobu, w jaki zajmował przestrzeń. Był wysoki, miał ciemne włosy z wyraźnymi srebrnymi pasmami przy skroniach i twarz, na której widać było ślady zmęczenia, nie zaś próbę ukrywania wieku.

Ubrany był w grafitowy sweter, ciemne spodnie i płaszcz przewieszony przez przedramię. Wyglądał jak ktoś, kto wyszedł z domu bez zastanawiania się nad tym, czy jego ubranie pasuje do wystawy.

Jego spojrzenie zatrzymało się na mnie z wyraźnym rozpoznaniem.

— Tytus — powiedziałam, choć nie było wątpliwości, kim jest.

— We własnej, nieco mniej pikselowej osobie.

Uśmiechnął się. Miał spokojny głos, niższy, niż zapamiętałam z nagrań. W rzeczywistości każde jego zdanie brzmiało bardziej bezpośrednio. Nie było między nami ekranu, który pozwalałby odłożyć odpowiedź na później.

— Spodziewałam się, że będziesz wyższy — powiedziałam.

Uniósł brwi.

— To interesujące. Ja spodziewałem się, że będziesz miała więcej cierpliwości do ludzi, którzy skracają twoje teksty.

— Nie minęła nawet minuta, a już rozmawiamy o moich wadach.

— W takim razie dobrze wykorzystujemy czas.

Roześmiałam się, choć nie planowałam tego robić. Było w tym coś rozbrajającego. Jego żart nie próbował rozładować napięcia za wszelką cenę. Raczej przyznawał, że oboje wiedzieliśmy, po co się spotkaliśmy.

Tytus odłożył płaszcz na oparcie krzesła i wskazał stół.

— Chodź. Pokażę ci, co zrobiłem.

Podeszłam do wydruków. Na środku znajdował się duży arkusz z planem ekspozycji. Przesunęłam wzrok po zaznaczonych ścianach, przejściach i punktach oświetlenia. Projekt był dobry. Nawet bardzo dobry. Tytus umiał wykorzystać przestrzeń bez przeładowywania jej elementami. Zostawił odpowiednio dużo pustego miejsca, a poszczególne fragmenty wystawy układały się w naturalną trasę. Miałam wrażenie, że zwiedzający nie będą jedynie czytać listów, ale stopniowo wchodzić w cudze wspomnienia.

Nie zamierzałam jednak pozwolić, żeby estetyka przesłoniła treść.

— Tutaj — powiedziałam, wskazując siódmy podpis. — Skróciłeś go.

— O jedną trzecią.

— O połowę, jeśli liczyć zdania, które usunąłeś.

— Nie chodzi o liczbę zdań. Chodzi o czytelność.

— Czytelność nie oznacza pozbawienia tekstu sensu.

Przyjrzał mi się uważnie. Nie wyglądał na urażonego. Raczej na człowieka, który czekał na tę odpowiedź i był ciekaw, jak ją uzasadnię.

— Przeczytaj go na głos — poprosił.

Znalazłam oryginał na wydruku i odczytałam fragment. List pochodził od kobiety, która opisywała swój pierwszy rok w Londynie. Pisała o mieszkaniu, w którym nigdy nie wysychały ręczniki, o sąsiadce przynoszącej jej herbatę i o tym, że przez wiele miesięcy nie wiedziała, czy tęskni za domem, czy po prostu jest zmęczona próbą odnalezienia się w nowym miejscu.

Kiedy skończyłam, Tytus nie odpowiedział od razu.

— Widzisz? — zapytałam. — To nie jest tekst o ręcznikach. Chodzi o niepewność, która pojawia się między jednym a drugim zdaniem.

— Wiem.

— Więc dlaczego ją usunąłeś?

Przesunął palcem po planie.

— Ponieważ ludzie będą czytać ten tekst, stojąc. W sali będą inne osoby, światło będzie padało z boku, a przejście jest węższe, niż wygląda na rysunku. Jeśli zostawimy wszystko, co chcesz zachować, część zwiedzających przeczyta pierwsze trzy zdania, a resztę ominie.

— Można zwiększyć format.

— Nie możemy. Wymiary paneli zostały zatwierdzone, a zmiana oznaczałaby dodatkowy koszt i przesunięcie montażu.

— Możemy zmienić układ.

— Możemy, ale wtedy tracimy miejsce na oryginały.

— To nie mój problem, że zaprojektowałeś za mało przestrzeni.

Wypowiedziałam te słowa szybciej, niż zamierzałam. Tytus spojrzał na mnie, a potem odchylił się lekko na krześle.

— To akurat jest mój problem. Dlatego właśnie próbuję go rozwiązać.

Nie odpowiedziałam. Nie spodziewałam się, że przyzna mi rację w tej części sporu. Zwykle ludzie, którzy odpowiadali za projekt, tłumaczyli ograniczenia, jakby były prawami natury. On nie próbował udawać, że wszystko zostało zaplanowane idealnie.

— Mam inną propozycję — powiedział. — Nie będziemy teraz wybierać między twoim tekstem a moim układem. Zrobimy próbę. Wydrukujemy pełną wersję w skali docelowej, umieścimy ją na ścianie i sprawdzimy, jak wygląda z odległości, z której ludzie będą ją czytać.

— A jeśli okaże się, że działa?

— Zostaje pełna wersja.

— A jeśli nie?

— Wtedy szukamy rozwiązania, które nie polega na mechanicznym usuwaniu zdań.

To brzmiało rozsądnie. Nie oznaczało jednak, że zamierzałam przyjąć jego propozycję bez zastrzeżeń.

— Chcę mieć prawo zatwierdzania ostatecznego brzmienia każdego tekstu.

— Masz je w umowie.

— Chcę, żeby to było jasne także w praktyce.

Tytus skinął głową.

— Dobrze. Ja potrzebuję tego samego w kwestii układu. Nie chcę, żeby po zaakceptowaniu projektu ktoś zmieniał rozmieszczenie paneli bez konsultacji ze mną.

— Nie zamierzam projektować ci wystawy.

— A ja nie zamierzam tłumaczyć twoich tekstów.

Spojrzeliśmy na siebie. W tym jednym zdaniu było coś więcej niż żart. Oboje mieliśmy swoje kompetencje i nie zamierzaliśmy oddawać ich drugiej osobie tylko dlatego, że znaliśmy się z korespondencji.

— W porządku — powiedziałam. — W takim razie przestajemy udawać, że jedno z nas może samodzielnie rozstrzygnąć wszystko.

— To może być najrozsądniejsza decyzja, jaką dziś podejmiemy.

Przez następne pół godziny omawialiśmy kolejne fragmenty. Tytus pokazywał mi wizualizacje, a ja wyjaśniałam, dlaczego niektóre sformułowania powinny pozostać w oryginalnej kolejności. Zauważyłam, że nie przerywał mi, kiedy mówiłam o języku. Nie zgadzał się ze wszystkim, ale zadawał pytania, które rzeczywiście dotyczyły problemu. Kiedy wskazywałam fragment, który jego zdaniem nie pasował do kompozycji, nie próbował udawać, że rozumie jego znaczenie lepiej ode mnie.

W pewnym momencie przesunął w moją stronę kartkę z notatkami.

— To twoje uwagi z poprzedniej wersji?

— Tak.

— Rozpoznałem je po sposobie zaznaczania przecinków.

— Nie wiedziałam, że mam charakterystyczny sposób zaznaczania przecinków.

— Masz. Zostawiasz małe znaki na marginesie, jakbyś przepraszała tekst za to, że musisz go poprawić.

Spojrzałam na kartkę. Rzeczywiście, przy jednym z akapitów narysowałam drobny znak, który wyglądał jak odwrócony haczyk.

— To nie jest przepraszanie.

— W takim razie co?

— Ostrzeżenie.

Zaśmiał się cicho.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że jego obecność może okazać się przyjemniejsza, niż przewidywałam. Nie

dlatego, że zgadzał się ze mną, lecz dlatego, że potrafił zauważyć szczegół, który nie miał żadnego znaczenia dla projektu. Przez dwa lata pisałam do niego o swoich przyzwyczajeniach, ale nie przypuszczałam, że zapamięta coś tak małego.

O jedenastej do sali weszła kobieta z administracji, przedstawiła się jako Helen i poinformowała nas, że drukarnia potrzebuje ostatecznych plików najpóźniej w piątek. Tytus zapytał o możliwość przesunięcia terminu o dwa dni. Helen pokręciła głową.

— Nie tym razem. Montaż zaczyna się w przyszłym tygodniu. Jeśli nie dostarczymy plików, tracimy zarezerwowany termin.

— Rozumiem — odpowiedział.

Kiedy wyszła, spojrzałam na kalendarz.

— Piątek?

— Tak.

— Dziś jest wtorek.

— Wiem. Nie musisz mi przypominać.

— Nie przypominam. Próbuję zrozumieć, dlaczego nie dostałam tej informacji wcześniej.

Tytus spojrzał na mnie.

— Bo zakładałem, że znasz harmonogram.

— Znam termin końcowy. Nie wiedziałam, że nie ma żadnego marginesu.

Przez chwilę milczał. Potem wyjął z teczki wydruk harmonogramu i podał mi go bez komentarza.

— Masz rację. Powinienem był wysłać ci tę wersję.

Przyjęłam kartkę. Była to drobna rzecz, ale nie chciałam jej zlekceważyć. Nie próbował odwrócić uwagi ani zrzucić odpowiedzialności na administrację.

— Będziemy musieli pracować szybko — powiedziałam.

— Będziemy musieli pracować rozsądnie.

— To nie zawsze jest to samo.

— Wiem. Dlatego dobrze, że jesteś tutaj.

To zdanie zabrzmiało inaczej niż zawodowy komplement. Może dlatego, że wypowiedział je bez uśmiechu, patrząc prosto na mnie. Przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Zamiast tego schowałam harmonogram do teczki.

Przed południem ustaliliśmy, że przygotuję dwie wersje najbardziej problematycznych podpisów, a on opracuje alternatywny układ dla trzech paneli. W piątek mieliśmy podjąć ostateczne decyzje na podstawie próbnych wydruków. Nie był to kompromis, na który liczyłam poprzedniego wieczoru, ale przynajmniej nie wymagał ode mnie rezygnacji z zawodowej odpowiedzialności.

Kiedy zbierałam dokumenty, Tytus podał mi płaszcz, który wcześniej zostawiłam na krześle. Zrobił to naturalnie, bez demonstracyjnej uprzejmości.

— Masz chwilę? — zapytał.

— Zależy, na co.

— Na kawę. Nie tę z automatu na zapleczu. Chciałbym porozmawiać o czymś, co nie mieści się w harmonogramie.

Przez moment patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy to propozycja zawodowa, czy prywatna. Nie miałam ochoty zgadywać.

— O czym?

— O tym, jak wyobrażałem sobie nasze pierwsze spotkanie. I o tym, jak bardzo pomyliłem się w kilku szczegółach.

— To brzmi niebezpiecznie blisko rozmowy o oczekiwaniach.

— Możemy ją odłożyć, jeśli wolisz.

Nie naciskał. Po prostu czekał.

— Dzisiaj nie — odpowiedziałam. — Mam jeszcze pracę do skończenia i nie chcę przesuwać swoich planów.

— Rozumiem.

Nie zapytał, czy jestem pewna. Nie próbował przekonywać, że przecież mamy tylko chwilę. Skinął głową i wrócił do zbierania wydruków.

To również zauważyłam.

Wyszłam z galerii kilka minut później. Deszcz osłabł, a powietrze było chłodne i wilgotne. Przeszłam kilkadziesiąt metrów, zanim zorientowałam się, że się uśmiecham. Nie był to uśmiech kobiety, która właśnie spotkała miłość swojego życia. Byłam na to zbyt rozsądna. Raczej uśmiech osoby, która odkryła, że ktoś znajomy potrafi ją zaskoczyć w sposób, którego nie przewidziała.

Tytus nie okazał się ani tak idealny, ani tak trudny, jak wyobrażałam go sobie poprzedniego wieczoru. Był konkretny, czasem uparty, uważny na szczegóły i wystarczająco pewny siebie, by nie traktować każdej różnicy zdań jak zagrożenia. Miał też skłonność do podejmowania decyzji za szybko, zanim upewnił się, że wszyscy znają warunki.

Wiedziałam o nim więcej niż o większości ludzi, których spotykałam na co dzień, a mimo to po godzinie rozmowy miałam wrażenie, że dopiero zaczęłam go poznawać.

W telefonie pojawiła się nowa wiadomość.

„Dziękuję za dzisiejszą rozmowę. I za ostrzeżenie w sprawie przecinków. Będę uważał".

Odpisałam dopiero po kilku minutach.

„Nie obiecuję, że to pomoże".

Schowałam telefon do kieszeni i ruszyłam w stronę stacji. Po raz pierwszy od przyjazdu do Londynu pomyślałam, że sześć tygodni może okazać się okresem znacznie bardziej nieprzewidywalnym, niż zakładałam.

# Rozdział 2 - Poza ustalonym planem

Do galerii wróciłam następnego dnia o dziewiątej, tym razem bez potrzeby przekonywania samej siebie, że to wyłącznie obowiązek zawodowy. Miałam przygotowane dwie wersje podpisów, notatki do kolejnych tekstów i listę pytań dotyczących materiałów archiwalnych. Nie zamierzałam jednak udawać, że wiadomość Tytusa z poprzedniego wieczoru nie sprawiła mi przyjemności.

Przyszedł kilka minut po mnie. Niósł dwa kubki kawy i papierową torbę z piekarni po drugiej stronie ulicy.

— Nie wiedziałem, jaką pijesz — powiedział, stawiając kubki na stole. — Wziąłem czarną i z mlekiem. Bez cukru w obu, bo nie pamiętałem, czy go używasz.

— Zwykle nie.

— Czyli trafiłem w połowie.

— To całkiem dobry wynik jak na człowieka, który przez dwa lata dostawał ode mnie wiadomości o wszystkim.

— O wszystkim nie. Nigdy nie napisałaś, jaką kawę zamawiasz.

— Nie przyszło mi do głowy, że to istotna informacja.

— Mnie też nie. Do wczoraj.

Spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem. Wybrałam kubek z mlekiem. Nie zamierzałam analizować tego gestu, choć gdzieś z tyłu głowy odnotowałam, że zapamiętał przynajmniej tyle, by nie przynieść mi słodkiego napoju z syropem.

Na stole czekały już próbne wydruki. Tytus rozłożył je w kolejności, w jakiej miały pojawić się na ścianach. Przez

następną godzinę pracowaliśmy niemal bez przerwy. Moja dłuższa wersja podpisu okazała się czytelna, ale wymagała większego odstępu między wierszami. Tytus zaproponował zmianę kroju pisma. Nie spodobał mi się pierwszy wybór, więc przygotował drugi, a potem trzeci. Przy ostatnim przestałam szukać argumentów przeciwko niemu.

— Ten jest dobry — przyznałam.

— Wiem.

— Nie musisz być taki zadowolony.

— Nie jestem zadowolony. Po prostu od rana czekałem, aż to powiesz.

— Czyli jednak jesteś zadowolony.

— Trochę.

Podał mi wydruk. Litery były spokojniejsze, bardziej otwarte. Nie przyciągały uwagi samą formą, tylko pozwalały skupić się na tekście. Zrozumiałam, dlaczego wybrał właśnie ten krój. Nie próbował ozdobić cudzych słów. Chciał dać im miejsce.

— Dlaczego projektujesz wystawy? — zapytałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Podniósł wzrok.

— To dość osobiste pytanie jak na dziewiątą czterdzieści.

— Możesz nie odpowiadać.

— Nie, to nie problem. Po prostu zastanawiam się, dlaczego pytasz teraz.

Wzruszyłam ramionami.

— Bo widzę, że wiesz, co robisz. A przez większość naszych rozmów pisałeś o projektach tak, jakby były czymś, co po prostu musisz zrobić.

Przez chwilę obracał w palcach ołówek.

— Kiedyś myślałem, że projektowanie wystaw polega na pokazywaniu rzeczy. Później zrozumiałem, że ważniejsze jest to, co człowiek może przy nich poczuć albo sobie przypomnieć. Przedmiot bez kontekstu jest tylko przedmiotem. Dopiero sposób, w jaki go umieścisz, pozwala komuś zobaczyć w nim coś własnego.

— Brzmi jak zdanie, które powinno znaleźć się w twoim portfolio.

— Nie cierpię portfolio.

— Dlaczego?

— Bo trzeba w nim pokazać wyłącznie rzeczy, z których jest się dumnym. A ja nie chcę udawać, że wszystkie moje decyzje były dobre.

Powiedział to bez szczególnego dramatyzmu. Nie próbował wzbudzić współczucia. Po prostu uznał, że nie ma powodu, by przedstawiać mi siebie jako człowieka bez błędów.

— To dość rzadkie podejście — zauważyłam.

— Może. Ale znacznie łatwiej byłoby mi pracować, gdybym nie musiał pamiętać o wszystkich rzeczach, których nie zrobiłem.

Nie dopytywałam. Wiedziałam z jego wcześniejszych wiadomości o ojcu i obowiązkach, które zajmowały mu znaczną część tygodnia. Nie znałam jednak szczegółów i nie chciałam traktować tej wiedzy jak zaproszenia do przesłuchiwania go.

Zamiast tego wróciłam do wydruków.

— Musimy jeszcze ustalić, kto będzie zatwierdzał podpisy po korekcie.

— Ty.

— A jeśli będziesz chciał zmienić ich położenie?

— Wtedy będziemy rozmawiać.

— Chcę, żeby każda zmiana tekstu po zatwierdzeniu przechodziła przeze mnie. Nawet jeśli będzie chodziło o jedno słowo.

— Zgoda. Ja chcę mieć prawo weta wobec zmian w układzie przestrzennym, które wpływają na odbiór wystawy.

— To rozsądne.

— Czyli właśnie zawarliśmy umowę.

— Nie. Ustaliliśmy zasady współpracy. Umowa jest gdzieś w segregatorze Helen.

Tytus zaśmiał się i zapisał nasze ustalenia w notesie. Miał staranne pismo, nieco pochylone w prawo. Kiedy przesuwał kartkę, zauważyłam, że na marginesie narysował mały schemat sali, z zaznaczonymi przejściami i punktami światła.

— Robisz to odruchowo? — zapytałam.

— Co?

— Rysujesz plan, kiedy rozmawiasz.

Spojrzał na notes.

— Chyba tak.

— A kiedy rozmawiasz z kimś, kto nie jest częścią projektu?

— Wtedy rysuję mniej.

— To pocieszające.

— Dlaczego?

— Bo nie chciałabym być kolejnym panelem na twojej ścianie.

Tytus popatrzył na mnie przez chwilę, a potem odłożył ołówek.

— Nie jesteś.

Nie powiedział tego w sposób, który wymagałby ode mnie natychmiastowej odpowiedzi. Wrócił do przeglądania wydruków, jakby nie zamierzał wykorzystywać tej chwili do uzyskania czegokolwiek. Mimo to jego słowa zostały ze mną na dłużej.

Przed południem dołączyła do nas Helen, która przyniosła dokumenty dotyczące praw do reprodukcji listów. Wyjaśniła, że część materiałów wymaga jeszcze potwierdzenia zgody rodzin autorów. Nie wszystkie odpowiedzi dotarły, a bez nich nie mogliśmy wysłać kompletu plików do drukarni.

— Ile tekstów jest zagrożonych? — zapytałam.

— Trzy — odpowiedziała Helen. — Jeden z nich jest szczególnie ważny dla końcowej części wystawy.

Tytus wziął dokumenty i przejrzał listę.

— Kto prowadził kontakt z rodzinami?

— Ja, ale część korespondencji przechodziła przez archiwum. Możemy spróbować zadzwonić jeszcze raz.

— Zróbmy to dzisiaj — powiedział. — Jeśli nie uzyskamy odpowiedzi, będziemy musieli przygotować wariant bez reprodukcji.

Helen wyszła, a ja spojrzałam na nazwiska przy trzech pozycjach.

— Nie możemy po prostu zastąpić tych listów innymi — powiedziałam.

— Nie zamierzam.